Nr. 3. Lwów, 1. lutego 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Nowości i wynalazki.

Po zakończeniu starego roku wartoby się zastanowić, jakie nowości mamy do zaznaczenia w dziale uzbrojenia myśliwskiego.

Niektóre nowości, o których niżej mówić będę, nie powstały w tym roku, ale zwróciłyi na siebie ogólniejszą uwagę i zaczęły zyskiwać szersze koła zwolenników.

W dziale sztućców kulowych wyrabia się powoli przekonanie, że obecnie używane sztućce manlicherowskie i mauserowskie nie są jeszcze ideałem. Zdanie to nie tyczy się samego strzału, gdyż w tym kierunku nie można przewidzieć znacznego postępu, lecz mechanizmu tychże sztućców. Mianowicie kardynalnym ich błędem jest to, że trzeba znacznego ćwiczenia, by względnie szybko z nich strzelać, a nadto szelest przy repetowaniu jest niedogodnym.

Można już na pewne twierdzić, że przyszłość należy do sztućców samoczynnie repetujących, przy których część siły gazów wybuchowych zużywaną bywa do wykonania czynności: otworzenia zamku, wyrzucenia wystrzelonej łuski i samoczynnego wprowadzenia do lufy nowego naboju przy zamykaniu się zamku. Wprawny strzelec może z takiej broni dać w minucie 80 do 100 strzałów celowanych, gdyż do wykonania wyżej wspomnianych czynności potrzebuje taka broń dwudziestej piątej części sekundy.

Do tego rodzaju broni należą systemy Browninga, Bergmanna, Mausera i Borchardta. Cesarz Wilhelm już od kilku lat bacznie śledził zastosowania tychże sztućców do celów myśliwskich i sam ich z dobrym skutkiem używał, obecnie zaś pojawiają się w fachowych pismach niemieckich artykuły stwierdzające pewne rozpowszechnienie się tychże systemów, a nawet zastosowanie do nich lunety. Sztućce samoczynne są naturalnie dopiero w stadyum rozwoju; postać ich zewnętrzna wcale nie ujmu-

jąca, a przedewszystkiem nie wyprą dotychczasowych sztućców, póki nie uda się zastosować ich do użycia tak silnych nabojów, jakich dziś do małych kalibrów używamy.

W kwestyi trzylufek nastąpiły kardynalne zmiany, ale o tem w osobnym artykule wspomnę, jak również o sposobach zapobieżenia dołowaniu przy śrótówkach. Powstały również inne nowości lub też dawniejsze zyskały w bieżącym roku prawo obywatelstwa, o czem niżej mowa.

Dwulufki z jednym cynglem. Już od kilku lat są w Anglii w użyciu dwulufki z jednym cynglem, a obecnie zyskują one coraz to więcej zwolenników na kontynencie. Są one tak skonstruowane, że po wystrzeleniu prawki wraca cyngiel do pierwotnego położenia. Jeżeli zwolnimy nieco palca to możemy na nowo cisnąć i dublować z wielką szybkością. Ma to tę zaletę, że można strzelać daleko szybciej i spokojniej, a zwłaszcza w zimie, gdy się ma rękawice, uwydatnia się wielka zaleta tego ulepszenia.

Przy zastanowieniu się nad tą nowością, mimowoli ciśnie się na usta pytanie, „ale cóż począć, gdy przed nami zrywa zwierzyna, do której powinienem strzelić z lewki, gdyż tam mam śrót odpowiedni?“ Otóż fabrykanci to przewidzieli i odpowiednio umieszczona przesuwka umożliwia zmianę luf w składzie.

Nowe wielkie fabryki broni myśliwskiej. Austryackie towarzystwo dla fabrykacyi broni w Steyer, czyniąc zadość wielostronnym życzeniom i zachętom, postanowiło podjąć się wyrobu broni myśliwskiej i już w końcu czerwca z. r. okazały się pierwsze wyroby tegoż.

Rozpoczynając wyrób broni myśliwskiej wprowadziła wyżej wspomniana fabryka znamienne ulepszenia.

W dziale broni kulowej wprowadzono sztuciec systemu Mannlicher — Schönauer, którego mechanizm prawie bez szelestu działa, magazynek jest ukryty, a nadto można ten sztuciec rozkładać i składać bez pomocy jakichkolwiek narzędzi.

Wprost epokowem jest ulepszenie w dziale dwulufek. Mianowicie sporządzono tam dwulufki nie lutowane ze sobą, lecz wiercone w jednolitym kawałku stali. Ma to ogromny wpływ na dobroć strzału, gdyż lutowanie luf sprowadzało niedokładności w drganiu falistem luf i szkodliwie oddziaływało na strzał.

Również fabryka Skody w Czechach zamierza wyrabiać broń myśliwską. Sądząc po dotychczasowem dążeniu do postępu tego austryackiego Kruppa, możemy się od niego spodziewać miłych niespodzianek.

Nowy proch bezdymny. Od niedawna ukazał się na widowni proch bezdymny, zwany od swego wynalazcy müllerytem i odrazu wywalczył sobie pierwszorzędne miejsce przy strzelaniu do gołębi w Spaa, Namur, Paryżu, Monte Carlo i t. d. Dla lepszego zapoznania czytelnika z tym nowym wynalazkiem, przetłumaczę artykuł kompetentnego sportsmena, drukowany w jednym z niemieckich dzienników fachowych.

„Znany w kołach myśliwskich i na wielu strzelnicach jako strzelec, miałem często sposobność w Monte Carlo, Ostendzie, Spaa, Namur i t. d. porównywać dokładnie działanie starszych i nowych prochów bezdymnych i każdy z moich znajomych, wie że mało kto wystrzelał tyle, co ja nabojów w celach doświadczalnych, przyczem gorzkie nieraz zawody, nauczyły mnie przyjmować wszelkie nowości z pewnem niedowierzaniem. Dodatnim wyjątkiem są jednak naboje müllerytowe, które świeżo w handlu się pokazały. Tak doświadczenia mych przyjaciół, jakoteż moje własne przekonały mnie wkrótce, że mam do czynienia z nadzwyczajnym produktem, dlatego też chcę się robionemi przezemnie doświadczeniami z ogółem myśliwych podzielić w interesie tychże“.

„Zamieszczam tutaj również zdania znanych mi, fachowców“.

„Między innymi pisze Horatio Philipps, znany „shooting - editor“ rozpowszechnionego pisma angielskiego „The Field“, pod 22 kwietnia 1899 w Nr. 2417, jak następuje: Mülleryt nie zanieczyszcza luf i nie pozostawia szkodliwych osadów. Mülleryt dał lepsze rezultaty od wszystkich dotychczas przez nas próbowanych gatunków prochu, jak to już w naszych tabelach doświadczalnych ogłosiliśmy. Jakkolwiek chyżość początkowa jest o 10 stóp większa niż normalna dotychczas przez nas osiągnięta, to jednak trącenie, jakoteż ciśnienie gazów w lufie są mierne. Strzał wykazuje krycie dotychczas nie osiągnięte“.

„Henri Quersin, współpracownik fachowego pisma „*Chasse et Pêche*“ w Brukseli, również specyalista na tem polu, pisze w wyżej wspomnianem piśmie z dnia 2 kwietnia 1899 co następuje: Mülleryt składa się z nitrocellulozy bez domieszki nitrogliceryny, lub też innych dla broni tak szkodliwych składników. Mülleryt spala się w lufie zupełnie, nie daje żadnego dymu i nie pozostawia żadnego osadu. Mülleryt ma znaczną siłę przebijania i kryje nadzwyczaj regularnie. Ciśnienie gazów w lufie nie jest większem, jak przy czarnym prochu. Działanie jest zawsze jednakowe.. Mülleryt jest stały nawet przy dłuższem przechowywaniu i nawet wtenczas daje te same jednakowe wyniki. Mülleryt zatrzymuje swe własności pierwotne nawet po dłuższem przechowaniu we wodzie. Proste osuszenie wystarcza, by go można używać ze zwykłym skutkiem. Lufy po strzałach pozostają czyste, zaledwie poznać, że się z nich strzelało“.

„Armurerie Liégeoise“, organ królewskiej belgijskiej „stacyi próbnej“ (Banc d' epreuves) w Liège donosi o robionych z müllerytem doświadczeniach co następuje: „Myśliwi i strzelający do gołębi osiągnęli müllerytem znakomite wyniki. Mülleryt spala się w lufie zupełnie, nie zostawia osadu i wywołuje nieznaczne ciśnienie gazów. Jest wolnym od t. z. strzałów wyjątkowych, które zawsze są połączone z niebezpieczeństwem. Nie wpływa nań ani gorąco ani wilgoć. Sądzimy, że dobrze czynimy polecając myśliwym i strzelcom müllerыt, gdyż osiągnęliśmy nim na 36½ m. (około 50 kroków) doskonale kryjący strzał i znaczną siłę przebijania,

„Dalej pisze Horątio Quersin w „*Chasse et Pêche*“ nieco później: My się na to tylko zgodzić możemy, że mülleryt, poddany wszechstronnemu badaniu, pod każdym względem wyższy jest nad wszelką konkurencyę i godny jest uwagi wszystkich myśliwych i rusznikarzy“.

„Przy strzelaniu do gołębi, gdzie dobry nabój główną gra rolę, osiągnął mülleryt najświetniejsze wyniki: już poprzedniego roku zdobyto nim w Monte Carlo rozmaite wygrane, również w Londynie i w Hurlingham Cup pierwszą nagrodę, w Ostendzie przy grand

prix (70.000 franków) uzyskano müllerytem drugą nagrodę, jakoteż w dalszym ciągu piętnaście pierwszych nagród“.

W walce o pierwszą nagrodę w Namur (25.000 fr.) wygrał mülleryt pierwszą i 10 następnych nagród. Tegoroczne zdobycze müllerytu są mniej więcej następujące:

„Rozmaite wygrane w Monte Carlo; w Brukseli wzięto müllerytem siedm nagród na 11. W Namur wzięto müllerytem na 38 wygranych 28 (53216 fr.) podczas gdy reszta nagród (47.284 fr.) na siedm innych gatunków prochu rozdzieloną została“.

„Równocześnie walczono w Paryżu w Bois de Boulogne o „grand prix de Paris“, którą to nagrodą zdobył pewien belgijczyk müllerytem, przy współubieganiu się 56 strzelających“.

„Moje własne doświadczenia z müllerytem przechodziły zwykle wszelkie oczekiwania. Ja strzelam obecnie tylko müllerytem i miałem to szczęście zdobyć w Namur 5 pierwszych nagród; między temi jedną za seryę 34 po sobie trafionych gołębi; największa to serya jaką dotychczas osiągnąłem i to jeszcze na długą metę 29 m. W tym dniu walczyłem o lepsze z chlubnie znanym sportsmenem angielskim, Mr. Robertsem i dopiero 34-tym gołębiem pokonałem go. Co to znaczy 34 gołębi bez błędu trafić zrozumie każdy, kto kiedykolwiek takie strzelanie widział i świadczy to jak najpochlebniej o müllerycie“.

„Przed kilku dniami uczestniczyłem w Spaa w walce o pierwszą nagrodę (5.000 fr.) przy bardzo trudnem współzawodnictwie i zdobyłem drugą nagrodę“.

„Mülleryt jest prochem łuszczkowym o barwie trawiasto zielonej, zawdzięcza swe powstanie p. Hermanowi Müllerowi, którego nazwę nosi“.

„Zostawiałem mülleryt całymi miesiącami we wodzie i po zwykłem osuszeniu używałem go na polowaniu z najlepszym skutkiem. Jest to jedyny znany mi proch o tak dobranych składnikach, że pod wpływem wilgoci absolutnie nie traci. Nadto wolny jest od nitrogliceryny, przez co nie niszczy luf i daje strzał zawsze jednostajnie dobrze kryjący i stanowczo zabójczy“.

„Z powyżej opisanych rezultatów, osiągniętych müllerytem wynika, że mülleryt posiada wszechstronne, niedoścignione zalety i z pewnością długą i piękną przyszłość rokować mu można“.

„Opierając się na dotychczasowych doświadczeniach polecam mülleryt wszystkim myśliwym i strzelającym w przekonaniu, że raz go spróbowawszy, jednego będą ze mną zdania“.

„Spaa w Belgii w lipcu 1901. Hans Marsch“.

Na tem kończę tegoroczny przegląd. *M. R.*

ÓSMY ROGACZ.

ZDARZENIE PRAWDZIWE,

opisał ZYGMUNT PIĘTRUSKI.

Było raz polowanie — gdzie — mniejsza już o to —
Nie pomnę, czy śnieg leżał, czy też było błoto,
Dość, było polowanie. — Zjechało się wiele
Gości, jakby na piknik lub jakie wesele.
Przybył pan Jan z sąsiedztwa — był to człek [pobożny,
A bał się nagłej śmierci, zatem był ostrożny;
Zresztą nie ma co więcej rzec o panu Janie,
Jak że bardzo a bardzo lubił polowanie.
A prócz innych był jeszcze, gość co zjechał zdala
Myśliwy co się łatwo, jak siarka zapala —
A zwał się — zapomniałem — niech się Piotrem: [zowie —
Śliczny miał habigowski kapelusz na głowie,
Paltocik modny, czarny, bez skazy, zgrabniutki,
Ani zanadto długi, ani nazbyt krótki;
By jednak po myśliwsku wyglądać po trosze,
Wdział na nogi błyszczące, jakby szkło kalosze. —
Myśliwi inni, wszyscy prostaki z za światu
Nie ufali pięknemu myśliwcowi — bratu
I nawet obecnie zgoła nie powtórzę,
Co wśród siebie szeptali zniewieściali tchórze.
Pan Jan zaś patrzył zezem, wprost się obawiając,
By w ogniu nie zrulował, jak strzelony zając —
Pan Piotr grzecznie się skłonił, schylił kapelusza
I rzekł: Gościnność panów do głębi mię wzrusza,
Gdyż od dzieciństwa było pragnieniem mem [żywem,
Bym raz na polowaniu znalazł się prawdziwem —
A strzelać nieźle umiem — to nie chwalby [marne! —
Świadkiem pan Tabaczkowski, że je trafiam [w czarne,
Bo chcąc dobrze się w ćwiczyć na to polowanie,
Od tygodnia do celu urządzam strzelanie. —
Wzięto zaraz miot pierwszy — las rzadki, bukowy
Stanął Pan Jan i Pan Piotr już strzelać gotowy —
Pan Jan stanął na prawo — ukrył się za drzewo,
A o pięćdziesiąt kroków, Pan Piotr stał na lewo —
Ile w zamysłach Piotra było uczuć srogich,
Ile leżało dzików i sarn lekkonogich, —
Kto zliczy, kto odgadnie! — Myśliwstwu [uwłacza,
Kto nie wie, co namiętność, co zapał oznacza. —
Gdy gon się rozpoczął, za chwileczkę czasu,
W oddali, niespodzianie, pośród głębi lasu,
Siedem sarn się zjawiło — i lekkim galopem,
Koło Piotra przechodzą, wszystkie jednym tropem.

Pan Piotr zmierzył do każdej, do każdej wycelił,
Ale choć długo mierzył, do żadnej nie strzelił. —
Teraz Pan Jan odetchnął — i głowę wystawia
Z za drzewa — w tem Piotr do niego dwururkę
[nastawia, —
Jan znów skrył się za drzewo, mniemając
[bezsprzecznie,
Że jeśli dobrze z przodu, za drzewem bezpieczniej!
Trzykroć się z poza buka wychylała głowa,
Trzykroć Pan Piotr się zmierzał, trzykroć Jan się
[chowa. —
Gdy miot się wreszcie skończył, łowcy się
[zbiegają,
I zdziwieni nie mało Piotra się pytają:
„Cóż to Panie łaskawy, cóż to znów oznacza,
Między siedmiu sarnami nie było rogacza?“
„To same kozy były, widziałem dokładnie,
Poznać przecie rogacza, to każdy ugadnie! —
Ale był ósmy rogacz! Oh to mądra sztuka!
Za najgrubszego zaraz schował mi się buka.
A co łeb swój wychyli — ja do niego mierzę
I już mam — już, już strzelić — tfu! oczom nie
[wierzę,
Znów schował łeb za drzewo! Był to rogacz duży!
Spotkanie to na dzisiaj, pomyślnie mi wróży.
Trzykroć się z po za buka wychylała głowa,
Trzykroć ja się zmierzałem, trzykroć on się chowa!“
Pan Jan wspomniał na dzieci, swe biedne sieroty,
I zaraz mu do łowów zabrakło ochoty,
Bo zrozumiał dokładnie, o co rzecz chodziła
I jak bliziutko niego dzisiaj śmierć już była;
Więc chyłkiem się wykradłszy, nie mówiąc nikomu,
Siadł co prędzej na wózek — i — jazda do domu,
Rad, że się niczem wykpił, — bo był człek
[pobożny.
A bał się nagłej śmierci, przeto był ostrożny.

Pogadanka o różnych rzeczach.

Kwestya robienia świecy, jak widać, wywołała żywsze zainteresowanie, pozwolą więc szanowni czytelnicy, że i ja do tego parę słów przyrzucę.

W wypadkach, w których obserwowałem taki nagły wzlot w górę lub skok po strzale, ranę znalazłem zawsze, z wyjątkiem jednego, w głowie. Raz tylko, widziałem to przy strzale w piersi. Podczas polowania na przepiórki, doganiając towarzyszy, którzy się znacznie odemnie oddalili, wszedłem na wielkie kartoflisko i zobaczyłem z dala poprzedemnie w lewo ciągnącą przepiórkę. Strzeliłem do niej na znaczną odległość, bo blisko 80 kroków i nie spodziewałem się nawet, żeby upadła. Rzeczywiście po strzale poleciała dalej może ze 150 kroków, poczem nagle wzniosła się wysoko w górę i upadła na rolę. Oglądnąwszy ją dokładnie znalazłem postrzał pod lewem skrzydłem, zresztą nigdzie nie była uszkodzona. To był jedyny mój dotychczas wypadek świecy przy takiem zranieniu ptaka. Przed kilku laty zrobiłem dublet do zlatujących z drzewa dwóch puhaczy. Oba wybiły się bardzo wysoko i zawisły w powietrzu, jeden niedługo, drugi zatoczył gwałtowne koło, znowu zawisł i dopiero po kilkunastu sekundach spadł na ziemię. Pierwszy trafiony był w oko, drugi w głowę od spodu.

Obserwowałem to często także na wronach. W marcu w roku 1896, podczas wielkich śniegów siedziałem na wsi i nie mając nic lepszego do roboty na co dzień, strzelałem wrony, zajmując się przy tem świeczką. Na przeszło 500 zabitych wtedy przezemnie, około 150 o ile pamiętam, urządziło mi ten eksperyment, wszystkie te strzelone były w głowę, niektóre tylko miały śróty i w szyi.

U zwierząt zacząłem próby na kotach polnych przy spokojnem strzelaniu w polu. Ubiłem ich dotąd blisko 300, więc statystykę mógłbym mieć nie złą. Niestety wkrótce przekonałem się, że kot, jeżli nie zostanie na miejscu bez ruchu, w którekolwiek miejsce by był trafiony, choćby w koniec ogona, albo i całkiem chybiony, zawsze od tego zaczyna, że po strzale hopnie sobie w górę, a później dopiero albo ucieka albo zaczyna się rzucać. W obec tego dałem spokój dalszemu badaniu. Na zającach zauważyłem także skok pionowy przy postrzale w głowę.

Z tegoby niby wynikało, że racyę mają ci, którzy twierdzą, że świeca jest skutkiem strzału w głowę. Ja jednak przyznałbym racyę i tym, i tym drugim, którzy ją przypisują przebiciu klatki piersiowej, tylko odnosząc jedno i drugie do mózgu.

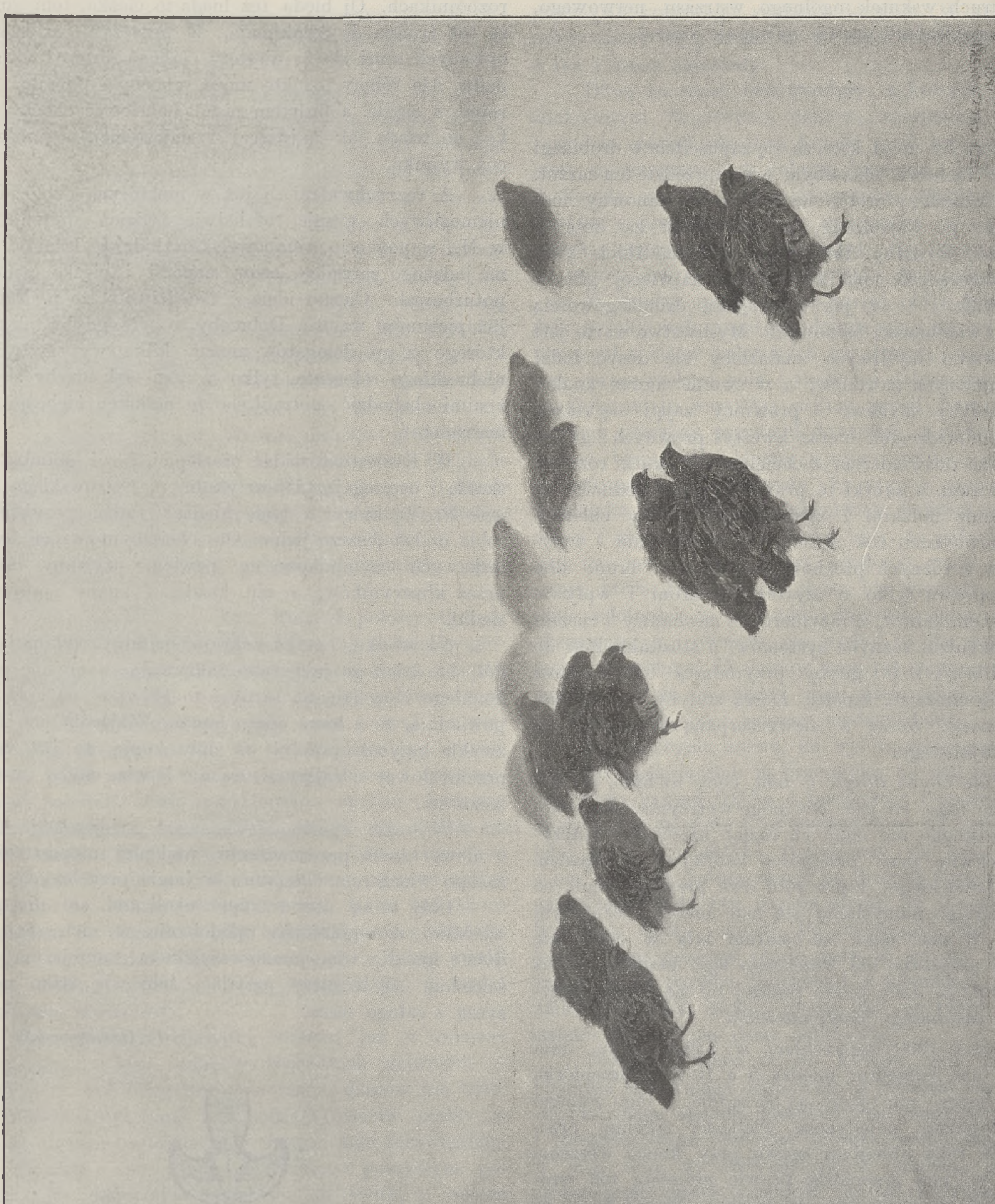
Mianowicie inaczej tłumaczyłbym przyczynę świecy przy strzale w piersi. To jest, nie przez wywołane wylewem krwi do płuc uczucie duszenia, tylko przez przebicie żył i co za tem idzie, natychmiastowe dostanie się powietrza do tychże.

Powietrze z żył dostaje się krótką drogą do serca, a stamtąd do arteryi płucnej, gdzie tworzy zator, jak kra na rzece.

Pan Chwalibóg całkiem słusznie twierdzi, że przy tym strzale następuje duszenie. Ono rzeczywiście jest przyczyną śmierci w takim wypadku. Jednakowoż ostatni ruch przedśmiertny, świecę, odniósłbym do czego innego.

Zator powietrzny w arteryi wtrzymuje chwilowo krążenie, czego bezpośrednim skutkiem jest natychmiastowa anemia mózgu, a z nią konwulsye z gwałtownymi skurczami mięśni, które najwyraźniej tu występują na kończynach; więc u czworonogów skok, u ptaków bicie skrzydłami, które je w górę wynosi.

Przy strzale w głowę, trudnoby to było przypisać skutkowi ciśnienia wylanej krwi na mózg, to raczej wywołałoby porażenie, zresztą na to zwykle nie ma czasu, bo albo zwierzę dostaje zaraz drugi strzał, zanimby mogło zaznaczyć, albo też mózg jest tak rozbity, że pojedyncze wylanie krwi z naczynia w rachubę nie wchodzi. Poczytywaćby to raczej jedynie można jako gwał-



J. Chełmoński. Kuropatwy wśród zawiei.

towny odruch wskutek ogólnego wstrząsu nerwowego, poczem bezpośrednio prawie następuje śmierć.

Zarzuciłby mógł ktoś, że się zapuściłem w drobiazgi i szczegóły fachowe, chciałbym więc uprzedzić ten zarzut. Początek szczęśliwy zrobił na tem polu szanowny mój poprzednik, p. Chwalibóg, ja poszedłem za dobrym przykładem, a dałby Bóg, żeby we wszystkich kwestyach dotyczących myśliwstwa jak najwięcej głosów się odzywało i to z jak największą drobiazgowością i wkładem wiadomości fachowych. Myśliwstwo warte jest tego, a wśród myśliwych znalazłoby się dosyć ludzi z najrozmaitszych zawodów, a w swoim nieraz znakomitości. Gdyby myśliwi — prawnicy zajęli się rozwikłaniem podnoszonych nieraz kwestyi prawnych; gdyby nam lekarze doświadczeni zechcieli spisać skutki różnych strzałów i ran, a skutki te prawie zupełnie jednakie są w organizmie ludzkim i zwierzęcym; gdyby chemicy i fizycy powiedzieli coś czasem, czy o działaniu i wpływie gazów z różnych prochów na strzał i broń, albo choćby poprostu tylko o czyszczeniu broni i wpływie różnych chemikaliów, a inżynierowie mechanicy i rusznikarze, o składzie różnych systemów, o stosunku kuli do lufy i kalibru i t. p. gdyby przyrodnicy byli łaskawi częściej się odezwać, szpalty *Łowca* stałyby się w niedługim czasie, cenną a niewyczerpaną skarbnicą dla każdego myśliwego.

No, ale chyba dosyć o tem, coby to było, gdyby, wróćmy do tego, co jest. Nie mogę wytrzymać (*sit venia verbo*, ale innego nie mam na razie) ażeby nie zatrzymać się chwilę przy przepiórce zabitej w listopadzie przez p. Lewickiego, który robi dwa przypuszczenia co do jej długiego namyślania się nad nieuskutecznionym odlotem. W obec tego, że ostatnie lata w ogóle nie były zbyt przyjazne dla wczesnego lęgu ptactwa u nas i tego co p. L. dalej pisze, prędzej by się można przychylić do pierwszego przypuszczenia.

W roku 1900 zastrzeliłem w październiku, dnia dokładnie nie pamiętam, między 5 a 10-tym, przepiórkę malutką, jeszcze nie opierzoną porządnie, a tego samego dnia kuropatwę pojedynczą wielkości średniej przepiórki. W roku ubiegłym znowu, przy końcu września przyniósł mi pies przepiórkę prawie mniejszą niż wróbel, siedziała w rowie przy ściernisku. Widać więc, że zdarzają się takie późne lęgi, a w wypadku p. L. przemawia jeszcze za tem wspomniane oberwanie chmury, i przepiórka pewnie była z drugiego gniazda, choć się to nie bardzo często zdarza.

Swoją drogą niezłe to takie oberwanie, jak kto ma szczęście, bo i kszyków było huk i przepiórka w listopadzie za jednym zamachem, ale nie każdy ma szczęście.

Ja n p. nie, bo kłusowników, o których teraz w „*Łowcu*“ głośno, miałem nieraz przyjemność widzieć, ale nigdym żadnego na dobre nie chwycił. raz o mało, ale miał szczęście i wykpił się, uderzając lamentem w czułą strunę mojego towarzysza. Dajże Boże zdrowie delegatowi żółkiewskiemu, bo chyba on wywołał to coraz częstsze poruszanie tej sprawy w „*Łowcu*“, nie zapominając w żadnej ze swoich korespondencyi o tych rozbójnikach. Oj bieda też bieda to ciężka, tem gorsza, że tak trudna do zwalczenia. Z przyczyn już szeroko opisanych musi się to niestety ciągnąć długo i wlec pomału. Ale róbmy, co kto może, choćby i pomału, byle robić, a ciągle, a przytem pisać, hałasować choćby, pukać do władz jak najwięcej i najczęściej, a może się coś wypuka.

A rozzuchwaleni są już w niektórych okolicach do niemożliwych granic, ot ledwie tydzień upłynął, jak w M., w powiecie trembowelskim złodzieje leśni w nocy na jadącego zarządcę lasów napadli i ciężko podobno poturbowali. Ciężko idzie, i nie dziwota, że p. Narrans już piorunów wzywa. Dobrzeby to było, gdyby tak przez którego z pp. delegatów można kilka wypożyczyć od niebieskiego referenta, tylko w tem sęk, czyby się kto z nimi obchodzić potrafił, bo to podobno niebezpieczny instrument.

W Królestwie widać nie lepiej, bo i stamtąd się skarżą i ostrzegają. Do artykułu p. Ostrowskiego (*Łowiec* Nr. 2), który o tych biedach radzi, pozwoliłbym sobie dodać jeszcze jedno. Oto chciałbym zwrócić uwagę łaskawych czytelników na pewien, używany czasem przez kłusowników, a nie każdemu znany sposób zasiadki.

Na środku, rzadko z kraju, oziminy wykopują oni dół, na dzień go jako tako zakrywają, a na noc włażą do niego i czekają na sarny i to głównie na kozy, bo powiadają, że z kozy mięso lepsze. Zającom nie robią zwykle krzywdy, bo ci co doły kopią, to już więksi przemysłowcy i zającami się nie bawią, chyba w ostateczności.

W razie spotkania takiego podejrzanego dołu o niewyraźnem przeznaczeniu, najlepiej niepostrzeżenie zasiąść wieczorem i amatora w jamie przychwycić.

Doły te są dosyć znane okolicami, ale nie powszechnie, szczególniejsze upodobanie w nich mają podobno huculi, więc przedewszystkiem tamtejszym właścicielom się to może przydać, żeby się tylko udało, życzę z całego serca.

T. Gordaszewski.

EPIZOD Z POLOWAŃ NA DZIKI.

Ot! wszystko się na świecie jakoś do góry przewraca nogami, w lecie zimno i przymrozki, w zimie ciepło i deszcz, kwiaty kwitną, trawka zielenieje, a człek zawiesił strzelbę na kołek i wzdycha do tych lat dawnych, gdy to jeszcze śnieg bywał w zimie, gdy to jeździło się saniami do lasu na polowanie, gdy się dziki po śniegu tropiło i używało rajskiej uciechy w białym od śniegu lesie.

Od lat już kilku zima ma wyraźną tendencyę do przemienienia się w zimę gorących krajów t. j. na porę

deszczową a już stanowczo zima tegoroczna prawie dosięgła celu swego dążenia, bo oto mamy deszcz a po deszczu mamy znów deszcz.

Ale że podobno nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło, gdy zatem we wszystkiem trzeba dobrej szukać strony, to i tu możemy mieć tę miłą nadzieję, że za lat kilka najpóźniej, gdy zima całkiem się już przemieni na zimę gorących krajów, to w ślad za tem zawitają do nas i mieszkańcy tych krajów, a więc tygrysy, lwy, hipopotamy, nosorożce i tym podobna drobna zwierzyna a więc i nam chudopachołkom, którzy nie mamy za co po dalekich jeździć krajach, cieszyć się wypada, iż niedługo będzie sposobność, bez zbytnich kosztów, zapolować na tego rodzaju zwierzynkę.

W obecnym jednak przejściowym czasie, gdy nie można polować na słonie, bo ich jeszcze nie ma, a nie można również polować na nasze gruboskórce dziki, bo czarno na świecie, z utęsknieniem rozgląda się człek po rozłożonych na podłodze skórach i kłach na ścianie wiszących, wspominając z lubością o przebytych dawno wzruszeniach i różnych epizodach.

O jednym epizodzie pragnę czytelnikom opowiedzieć.

Było to przed trzema laty. Zima do połowy stycznia również jak obecnie ciepła i bezśnieżna, tak że człek w głuchej rozpaczy pogrążon, co dzień przy wieczornym pacierzu o trochę śniegu prosił, a gdy w drugiej połowie tegoż miesiąca nareszcie raptowny, silny mróz ścisnął i z wieczora śnieg pruszyć zaczął, to tylko spragniony łowów myśliwy pojąć potrafi, z jaką się go radością i dziękczynieniem powitało. Całą noc kiepsko spałem, budzony ciągle niepokojem, by nadzieja śniegu nie spełzła na niczem, co czas jakiś zrywałem się z łóżka i w okno spoglądałem a widząc biało na dworze, przewracałem się z boku na bok, oczekując ranka. Rano też skoro świt byłem na nogach, a gdy tylko dobrze rozwidniało, hajda w las! szukać dzików na śniegu, a śnieg zwalił powyż kolan, niebo się rano wypogodziło, a mróz! prawdziwie styczniowy.

Koło godziny dziesiątej miałem już w miejscu umówionem w lesie, raporty wszystkich gajowych — niestety! — był śnieg lecz tym razem dzików nie było. Był dzik tu i był tam, lecz końcem końców poszły za granicę, co sam osobiście przy żywym żalu sprawdziłem.

Zgrzany i spocony, gdyż w śniegu puszystym, powyżej kolan sięgającym brodziłem od świtu, z nosem spuszczonym na kwintę, zły i markotny wróciłem o pierwszej z południa do domu. Ledwo się rozebrałem i miałem siąść do obiadu, który już właśnie zastałem, na stole, gdy przy głośnem szczekaniu psów, z hałasem, mymi i swymi poprzedzony psami, wpada cały zaśnieżony i obmarznięty mój sąsiad i kolega w zawodzie i z wesołą miną, z tryumfem z progu woła: „Są dziki, jedźmy sąsiedzie“.

A no, juści nie zostaniemy w domu, pojedziemy, ale gdy obiad na stole, a człek głodny, to wprzód się posilmy, czem chata bogata. Choć mój sąsiad tłumaczył, że czasu nie ma, bo późna godzina, a kawałek trzeba jechać i tam w lesie przy obtropionym miocie czeka już nas mego sąsiada sąsiad z drugiej strony, to mrugnąwszy na żonę, by do wazy z barszczem pokryjomu dolała wody, a mięso w drobniejsze pokrajała kawałki i zakropiwszy się poprzednio kieliszkiem wydoskonalonego przemysłu krajowego, siadamy do stołu. W kilka minut załatwiliśmy się z obiadem po myśliwsku, sumarycznie, a tuż i konie zajechały.

Biorę na sanie dwa kundysy, z których jeden był znakomitym tropowcem dzików, specyalistą w swym zawodzie, sąsiad swe dwa kundle miał ze sobą, pakujemy się na sanie i w dobrym humorze, delektując się doskonałą, a tak upragnioną sanną wjeżdżamy w las tutejszy a przejechawszy go na przełaj linią od leśniczówki prowadzącą, dojeżdżamy do granicy wprost do wylotu debry, u której początku dzik zaległ.

W drodze opowiadał mi sąsiad, że z tropu sądząc dzik to jakiś mały, prawdopodobnie silny warchlak, który przeszedł z lasów położonych po drugiej stronie Łomnicy, przez rzekę i pola i tu w tej debrze zaległ. Opowiadając mi to wszystko usilnie prosił bym w razie, gdybym pierwszy przyszedł do strzału, a widział, że psy dobrze biorą, dla lepszej wprawy psów, o ile możności wstrzymał się od strzału, by samym psom pozwolić warchlaka tego zdusić, jakkolwiek bowiem psy nasze dobre i nie przy jednym dziku były, to jednak oczekujący nas już w lesie trzeci myśliwy, wziął dwa psy swoje, które jeszcze nigdy dzika nie widziały, lecz niejakie zdolności w kierunku duszenia świń swojskich okazywały. A i owszem, nie wielka to dla mnie parada zatłuc warchlaka, 75 dzików mam już na sumieniu przeważnie dużych, a między nimi wiele górskich ogromnych odyńców, no i jednego niedźwiedzia!

Po przybyciu zatem do wylotu tego parowu, sąsiad dał, czekającemu na przesmyku na nas myśliwemu, umówiony sygnał trąbką o puszczeniu tropowca, puściliśmy tegoż ze sfory i tu według raz na zawsze przyjętej przez nas taktyki, rozeszliśmy się tak, iż jeden z nas szedł po jednej, drugi po drugiej stronie parowu, prowadząc każdy swe psy na sforze aż do czasu, gdy tropowiec dzika ogłosi. Po odezwaniu się tropowca każdy z nas puszczał resztę psów ze smyczy i za nimi swoją stroną parowu podchodził w kierunku, gdzie psy dzika atakowały, strzela zawsze zaś ten tylko po czyjej stronie parowu psy dzika ostanowią.

Uszedłem może ze sto kroków, gdy usłyszałem pierwsze szczeknięcie tropowca, a odezwał się tenże po stronie mego sąsiada, puściłem więc drugiego psa mego i zacząłem swym brzegiem parowu podbiegać do góry w tym celu, by zrównać się z dzikiem, gdy tenże zechce przez parów przekraść się na tę stronę, lub też dołem parowu z opałów się wykpić — należycie go przywitać. W kilka sekund usłyszałem już głos wszystkich psów przy dziku.

Rajska muzyka! Kto nie polował z psami na dziki lecz tylko z pogonką, ten ani wie, ani zrozumie co to jest polowanie na dzika. Dla mnie dwadzieścia najsilniejszych odyńców przy pogonce zabitych nie zrównoważy jednego słabego nawet dzika zabitego przy psach.

Polowanie i pogonka na dzika a na zająca to wszystko jedno. Stoi się na linii i patrzy w krzaki, chłopaki huczą lub kołatają, a człek czeka i patrzy w te krzaki, mało oczy z oprawy nie wyskoczą, nie mogąc niczem przyczynić się osobiście do tego, by przyjść do strzału i nic nie wie, czy strzelać będzie sam, czy też który z towarzyszy, czy też, co bardzo często się dzieje, dziki wrócą na pogonkę lub wyjdą na flankę właśnie

tam, gdzie stał gajowy z pałką w rękach lub strzelbą nabitą śrótem i w dodatku z reguły kłapiącą.. W końcu zamiast dzika wychodzą na linię chłopaki i człek się dowiaduje, że dzik wrócił przez pogonkę lub wyszedł flanką. Siada się następnie na sanie i jedzie się do domu czując zadowolenie, z tego, że się polowało na dziki. Jeśli jest się zaś o tyle szczęśliwym, że się do strzału przyjdzie, to cała różnica jest ta, iż z krzaków na linię zamiast małej, szarej masy zająca wypada wielka, czarna masa dzika i gdy kto dobrze strzela, no to zabija, nie, to chybia i rzecz skończona. Jeśli zaś św. Hubert połowicznie dopomoże, to ma się postrzałka, a jeśli już tak dalece polowanie się uda, iż uda się obciąć postrzałka i zagonić raz drugi, to już dobija go któryś z towarzyszy, poczem następuje debata, czyja to kula śmiertelna, następnie sąd polubowny a po wyroku, każdy ze strzelających z całą uporczywością utrzymuje, że to jego kula była śmiertelną. Przy całem polowaniu żadnych wrażeń, całe bowiem wrażenie to chyba gorące życzenie stojącego na stanowisku, by dziki właśnie na niego wyszły. W chwili, gdy dzik wychodzi na linię, na wrażenia nie ma czasu, składa się, stara się dobrze mierzyć, strzela i albo dzik ruluje lub uchodzi.

Cóż za różnica na polowaniu z psami! ileż wrażeń daje sama ta chwila, która upływa od spuszczenia ze sfory tropowca do odezwania się tegoż, jakże raźnie serce zapuka, gdy się nareszcie usłyszy naszczekiwania tropowca — „puszczaj psy!“ oho! już go dopadły, już wszystkie są przy nim, a to go biorą, aż las się trzęsie, a no strzelba w ręce i na przełaj przez krzaki do psów, a żywo! już tuj, tuj! trzeba przystanąć i teraz zwolna, by nie spłoszyć, człek się podkrada, nakoniec widzi — co za cudowny urok! oto siedzi okara na zadzie pod krzakiem lub kłodą, zapieniony, z iskrzącym wzrokiem, fuka i odcina się doskakującym psom lub też między krzakami ugania się za coraz natarczywiej doskakującymi i zaczepiającymi go ze zadu psami — chwilę zaczekać, by wraz z dzikiem, którego psa nie położyć — a otóż psy się szczęśliwie rozskoczyły — buch! już go psy obsiadły, broni się jeszcze, chce powstać, lecz już nie może, jeszcze chwila a psy już szarpią bezwładne tylko cielsko...

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty,
Swój róg bawoli, długi, cętkowany, kręty...

Nie sprzyjał św. Hubert, dzik po strzale z psami się uniósł — bajka! — byle psy były cięte, a ot! już go znów ostanowiły i znów człek przyszedł do strzału, jeśli zaś nie, toż słychać, którędy dzik z psami idzie, więc zabiedz drogę, na sanie i galopem na przesmyk, a tam go przywitać! Powtarzam, byle psy dobre były a już pewnie będzie dzik na saniach.

Ileż to wrażeń! co za emocya! co za cudowne polowanie!

Ale wracam do rzeczy. Biegnąc tak słyszę, pali mój sąsiad raz, pali drugi raz, lecz psy ciągle atakują i jakkolwiek powoli jednak przecież coraz bardziej zbliżają się do parowu. Zrównawszy się już, widzę choć z daleka, (rzadka drągowina bukowa), coś małego, czarnego, okrytego psami całkiem tak, że jeden różnokolorowy kłąb ciał się utworzył, mimo tego jednak od czasu do czasu psy widocznie pod naporem dzika się rozskakują i dzik kilka kroków skoczy i znów wszystkie psy wraz z dzikiem w jedną skłębiają się masę, a tak choć co raz to wolniej — widocznie dzik ostatnich sił dobywa — lecz przecież dochodzi dzik stromego brzegu parowu i naraz psy wraz z dzikiem staczają się w parów tak, że znajdują się w głębokim parowie wprost podemną. Psy wpadłszy wraz z dzikiem w parów tak zakopały dziczka w śniegu i tak go obsiadły, iż zaledwo coś czarnego między nimi widać było. Chcąc skrócić dziczkowi męczarnie, a prawdę powiedziawszy uniosła mnie trochę żyłka myśliwska, opieram o najbliższe drzewo strzelbę, dobywam nóż z pochwy, kładę się na plecach na śniegu i jazda w dół! wpadam wprost na dziczka psami okrytego, a kierując ręką między psy, wsadzam mu nóż pod łopatkę.

Dziczek (wielkości półtoraroczniaka) pchnięty nożem, konwulsyjnym skokiem wyrywa się z pomiędzy psów, a ja z przerażeniem widzę, że dzik ten wcale dzikiem nie jest. Trwało to jedno mgnienie oka, dziczek bowiek pchnięty w samo serce jeden tylko skok zrobić zdołał, a już się rozciągnął na śniegu, psy go zażarcie obsiadły znowu, a ja stoję zgłupiały i słyszę nad sobą homeryczny śmiech. Podnoszę oczy i widzę że sąsiad jedzie po śniegu w dół, tuż mnie dopada, łapie za szyję i ze śmiechem ściska i przeprasza. Zgłupiałem do reszty! więc cóż to jest? a ot co jest, sąsiad korzystając ze śniegu, pomalował rano swego domowego paciuka, wywiódł do lasu i mnie starego myśliwego w lesie — w pole wywiódł, choć przecie nie jestem nowicyuszem.

Telli-nod.

Korespondencye.

Rzeszów, w grudniu 1901.

Ustnie zaproszony a pisemnie wezwany wybrałem się 8 grudnia na wędrówkę myśliwską, tym razem z zachodu na wschód, do sławnej kniei w Wysuczce. Kto zna gościnność ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego i jego knieję, ten zrozumie, że na takie gody każdy pociąg pospieszny głównej linii kolejowej żółwim się jeszcze wydaje, nie uchybiając naturalnie wschodnio galic. kolejom lokalnym: Tarnopol, Kopyczyńce, Wygnanka, Teresin, Iwanie puste, na której pociągi t. zw. „pomieszane“ kursują z chyżością 10¼ km. na godzinę, n. b. jeśli się coś w drodze nie zepsuje, lub jeśli się gdzieś jakaś „partya“ z załadowaniem świnek lub t. p. nie spóźni, bo na to się musi czekać. Czasem się zdarzy, ale na szczęście rzadko, że jedzie jakiś kolejowy dygnitarz dla egzaminowania personalu; w takim razie lepiej nająć żydowską dryndę, bo prędzej na miejsce przeznaczenia zajedziesz i obędzie się bez „puszczania“ i „cofania“ pociągu z przestrzeni.

Gdy się jedzie na tak wspaniałe myśliwstwo i tego rodzaju przyjemności z lekkiem sumieniem się znosi, zwłaszcza w miłej kompanii starych i wytrawnych nestorów polskiego łowiectwa.

W Tarnopolu „Michał Nr. 5“ objaśnił mię, że jadą panowie do Wysuczki (ten chyba wszystkich myśliwych znać musi), więc też zaraz się z towarzyszami doli i niedoli złączyłem i jakoś nam ta nudna droga weselej zeszła; mieliśmy tylko 110 minut spóźnienia w Borszczowie i tylko 1 futerał ze strzelbą „gdzieś się w drodze sam zapodział“ (po polowaniu szczęśliwie odnaleziony w Zaleszczykach).

Chociaż w Wołkowcach stanęliśmy dopiero koło 2-giej nad ranem, zacny gospodarz z synem oczekiwał nas z wiktem i dobremi wiadomościami, że dziki są, zajęcy dużo etc.

Przez sześć dni polowaliśmy w rozległych i ślicznie urządzonych kniejach ordynacyi — z tego dwa prawie całe dni zajęły nam dziki, których jednakże tropić było niepodobieństwem w obec czarnej stopy.

Ogólny rezultat polowania wraz z podjazdami i maleńkiem polowaniem w październiku na lisy i słonki przedstawia się w ten sposób: 3 dziki, 28 lisów, 32 rogacze (12 na podjazdy), 466 zajęcy, 15 słonek, 3 palumbariusy i 18 kuropatw zabitych przy psie we wrześniu: tych ostatnich złapano w sieci 75 sztuk i wraz z kilkunastu przepiórkami widziałem wszystkie w zimowym pałacu dla nich umyślnie przygotowanym w Wołkowcach, cieszące się najlepszem zdrowiem i powodzeniem. Na tem miejscu jeszcze raz powtarzam, by im dozorca nie za dużo ziarna sypał, gdyż kuropatwy zapasione nie zdatne do rozmnoży.

Nie będę na tem miejscu opiewał znanej gościnności ordynata, bo kto tam raz gościł, wie, jakie go przyjęcie serdeczne czeka w myśliwskim futorze w Wołkowcach, a gdzie knieja bogata i gospodarz serdeczny, tam nowych słów trudno wymyśleć na podziękę.

Codziennie po obiedzie wesoła pogawędka w gronie tak poważnych myśliwych, jacy tam bywają — 5 robrów cajenny i zasłużony spoczynek w bardzo wygodnie urządzonych pokojach. Były i zabawne epizody, jak n. p. ktoś strzelał do rogacza a kozę chybił, albo jak znów kogoś zakład na ilość sztuk ubitych gruntoknie zapechował i t. p.

Polowanie wzorowo prowadzone, nagonka chodziła jak świetnie wymusztrowana armia, a rezultat byłby o wiele lepszym, gdyby aura sprzyjała — niestety prawie ciągle odwilż, czasem i deszczyk popadywał, mnóstwo zatem zajęcy w polu siedziało.

Zacnemu gospodarzowi serdeczne podziękowanie za ten myśliwski karnawał koncentruję w kilku słowach: Bóg zapłać i daj Boże długie jeszcze lata tej szlachetnej zabawy.

Jako delegat rzeszowski nie wiele „*Łowcowi*“ mam do doniesienia. Z powodu błota i zupełnego braku śniegu najpiękniejsze polowania jeszcze w zawieszeniu. Stan zajęcy w tym roku dobry, kuropatw jest mnóstwo, pomimo tego, że w sezonie znaczną bardzo ilość odstrzelono. W samej Jasionce u marszałka St. Jędrzejowicza padło około 500 sztuk; ja ubiłem w czasie między 24 sierpnia a 12 września 193 sztuk, przepiórek za to tylko 21, bo te wkrótce chyba do legendy należeć będą. Stan sarn u nas byłby bardzo dobry i jest miejscami świetny, ale gdzie kłusownik legitymowany i bez legitymacyi plądruje, tam żadne starania nie pomogą. W listopadzie n. p. na polowaniu Rzesz. Tow. Myśliwych w Lubeni znalazła nagonka w lesie gminnym na szczęście tylko chłopskiego kundysa złapanego na druty a wiele sarn tamtejsi kłusownicy przedtem zjedli, to Panu Bogu tylko wiadomo. Innym znów razem 5 chłopców z nagonki w Kelnarowie złapało się w jednym miocie za nogi; nad takiem nieszczęściem i śmiać się chce i płakać zarazem.

Po sezonie może jeszcze coś doniosę, jeśli się naturalnie powietrze zmieni; teraz zamiast zajęcy, można u nas kaczki z czółna strzelać, bo o innem polowaniu mowy nie ma. Może przecież ta wiosna w zimie przejdzie, może ta ziemia przymarznie nareszcie, bo myśliwego ogarnia rozpacz i zwątpienie.

Edmund Rylski.

Makuniów, 11 stycznia 1909.

Dnia 9 b. m. polowaliśmy w 6 strzelb w Lipnikach u p. Irsaya przy prawie całodziennej słocie. Zajęcy prawie w lesie nie było. Zabiliśmy 8 rogaczy, 3 lisy i 15 zajęcy, razem 26 sztuk. Na to strzałów padło 33. Zauważę tutaj, że z tych 33 strzałów, trzy były *coups de grâce* dla trafionej pierwszym strzałem zwierzyny; strzelono zaś do 29 sztuk zwierzyny, a podniesiono 26 sztuk. Rzadki to stosunek strzałów do zabitej zwierzyny! Tak my strzelamy w Mościskiem.

Albert Mniszek.

Makuniów, 19. stycznia 1902.

Dnia 15, 16 i 17 stycznia polowaliśmy w 17 strzelb u p. Maryanna Kęplicza. Pierwszy dzień był tak wspaniały że zasługuje na dokładniejszy opis. W 7 miotach były dziki i każdym razem wyszły na myśliwych. W trzecim miocie było do nich 28 strzałów!

W miocie I. padły od kul St. Pieńczykowskiego, sędziwy odyniec i gruba locha.

W miocie II. podpisany zabił warchlaka.

W miocie III. pada strzałów 28! na to zabity warchlak przez podpisanego.

Miot IV. bez dzików.

W miocie V. zabił warchlaka ordynat Czarkowski.

W miocie VI. padł odyniec od mojej kuli.

W miocie VII. padł wycinek od mojej kuli.

W miocie VIII. warchlak od kuli Pieńczykowskiego.

Rezultat z całego dnia 9 dzików, 4 rogacze, 2 lisy i 3 zające.

Drugiego dnia dzików nie było i polowanie w południe przerwaliśmy z powodu zadymki.

Trzeciego dnia mamy znów dziki w trzech miotach. Pada odyniec od kuli Pieńczykowskiego, dwulatek od knli Roztworowskiego i znaleziono warchlaka zabitego w dniu pierwszym.

Ogółem zabito przez trzy dni:

Dzików 12, rogaczy 11, zajęcy 39, lisów 5, na 208 strzałów. (70 strzałów było do dzików).

Ostatni akord tej cudnej myśliwskiej orkiestry złożonej z odgłosu strzałów, krzyku obławy i dźwięku rogów skonał już w jarach i parowach myszkowskiej kniei, ale brzmi nam ciągle w uszach i sercach. Bóg zapłać kochanemu gospodarzowi za tych chwil kilka subtelnej łowieckiej rozkoszy!

Drużyna cała dziękuje mu niniejszem najserdeczniej za nią i modli się do św. Huberta, by na przyszłą zimę znów w prastarym gościnnym myszkowskim dworze w komplecie wesoła i swobodna na nowe dzicze gody zgromadzić się mogła.

W końcu tłumaczę się jako delegat Towarzystwa łow. z innego powiatu, że zrobiłem to sprawozdanie w zastępstwie ordynata Czarkowskiego, przez niego do tego upoważniony, gdyż p. ordynat wyjechał przed ostatnim dniem polowania.

Albert Mniszek.

Pantalowice, 23. stycznia 1902.

Przez trzy lata pozbawiony prawie wzroku, korzystam dziś z łaski prof. Dr. Wicherkiewicza, dzięki któremu, nietylko pisać ale i strzelać mogę, aby szanownym czytelnikom „*Łowca*“ donieść o niezwykle oryginalnym, lecz niestety nieudanem polowaniu u mego sąsiada i przyjaciela p. T. Ż.

Pan T. Ż., stary myśliwy i niezwykle dobry strzelec, którego sny niedobre dręczą, jeżeli nie zastrzeliwszy przynajmniej wrony, lub srokacza do łóżka się położy, nie mając lasu w majątku przez siebie zamieszkałym, urządził sobie stodołę, do której tylko jemu wiadomymi sposobami lisy zwabia.

Z końcem listopada 1901 r. przypruszył śnieg, zaraz też pospieszył p. T. Ż. do swej improwizowanej kniei, i oh! jaka radość go ogarnęła, gdy spostrzegł, że aż 3 lisy do jego kniei weszły.

Obstalowawszy pogonkę i zawezwawszy swego przyjaciela i najbliższego sąsiada również dobrego strzelca p. E. W., z którym już poprzednio 9 lisów w tej kniei zabili, urządził obławę.

Jako gość otrzymał p. E. W. honorowe miejsce koło środkowej bramy.

Pogonka wpuszczona do stodoły pod doświadczonym kierunkiem karbowego, rozpołowiona, na dane hasło postępuje w zwartych szeregach z obu stron pędząc chowające się lisy po zbożach i słomie, ku środkowej bramie gdzie stoi p. E. W., sam gospodarz stanął zaś w oddaleniu kilkunastu kroków, aby mieć dach na oku, gdyż już nieraz bywało, że lis schroniwszy się tam a rozpatrzywszy pozycyę, uciekał w stronę najmniej zagrożoną.

Już słychać w pogonce, to z jednej to drugiej strony „pilnuj lisa“, p. E. W. stojący przy bramie już dech w piersiach zapiera, a powtarzając w duchu: „bójcie się Boga“, strzelbę do strzału gotowi. Wtem w otworze grodzonej ściany tuż koło bramy, wytyka lisiura i gdy się do połowy wychylił strzela p. E. W. — lecz, o zgrozo, lis umyka dalej, a po drugim strzale na 15-cie kroków pędzi przestraszony o pomoc wprost na gospodarza, będącego co prawda w trudnem położeniu, bo jak tu zabijać lisa, który w pełnym zaufaniu o pomoc go błaga. strzelił też do niego tak na 20 kroków, aby mu żadnej krzywdy nie zrobić, a lis ślicznie ukłoniwszy się kitą — poszedł obiecując powrócić, aby tak łaskawych panów jeszcze raz zabawić. Dwa lisy jeszcze zostały — gospodarz posłał po dalszego swego sąsiada p. W. G. lecz lisy pozostałe niechcąc się na niepewne szanse narażać, bo nuż który przypadkiem skaleczy, nie wyszły ze swej twierdzy — a gospodarz czeka dogodniejszej pory.

Stefan Prek.

Ossowce, 19. stycznia 1902.

Jest rzeczą dowiedzioną, że tam gdzie właściciel nie jest myśliwym, tam zwierzyny nie ma. Zdanie to nieraz z ust kompetentnych ludzi słyszałem. Nieraz mi ktoś mówił: Tam podobno dobre polowanie, wprawdzie właściciel nie myśliwy, lecz bardzo dba o nie. Oho, pomyślałem sobie, dużo nabojów brać nie trzeba, bo pewno zwierzyny będzie mało. Rzadko kiedy pomyliłem się w moich przewidywaniach. Bywają wprawdzie wyjątki, jak przy każdej regule, lecz wtedy zawsze jest jakiś leśniczy lub nawet pobereżnik, którzy są dobrymi myśliwymi i dbają o zwierzynę. W zupełnie przeciwnem usposobieniu jechałem zeszłego tygodnia do Tłusteńkiego, majątku Leona Horodyskiego. „Gdzież tam będziecie polowali, ktoś mnie zapytał, przecie nie ma lasu“. Pierwszy raz polowałem w Tłusteńskim, lecz wiedziałem, że Leon Horodyski bardzo dobry myśliwy, zaopatrzyłem się w dobrą porcyę nabojów i nie pożałowałem tego, bo ledwo wystarczyły. Gdyby w Tłusteńkiem zrobić nagonkę, pomiędzy pięknymi budynkami gospodarczymi toby i tam parę zajęcy się znalazło. Przewidywania moje całkiem się sprawdziły, było nas dziesięciu myśliwych, wyjechaliśmy późno, gospodarz mówił, że tylko kilka miotów i to nie długich. Polowaliśmy w polu, w krzaczkach i w młodych kulturach leśnych. Zajęcy bardzo dużo, polowanie prowadzone zupełnie prawidłowo. Padło 120 zajęcy i jeden rogacz, a to w kilku godzinach. W ostatniej, pozaprogramowej nagonce zaskoczyła nas kompletna noc. Brano czarną podorywkę, zające kręciły się na wszystkie strony, lecz ciemność nie dopuściła zupełnie do celnych strzałów. Może i tem lepiej, posłużą te zające do rozpłodu na rok przyszły. Widzieliśmy prócz tego kilka stad kuropatw, w ostatnich latach bardzo się one rozmnożyły na Podolu. Polowanie w Tłusteńkiem służyć może za dowód, że do dobrego polowania nie potrzeba koniecznie wielkich przestrzeni lasów, ani wielkiej liczby zaproszonych gości, lecz potrzeba przedewszystkiem, ażeby właściciel był myśliwym, lubił zwierzynę i starannie ją hodował.

Aleksander hr. Potocki.

Jajkowce, 23. stycznia 1902.

Zawsze słyszałem o obfitości dzików na naddniestrzańskich ściankach w Buczackiem. Słyszałem i wzdychałem, bo nie mając żadnych stosunków w tej części kraju, nie mogłem mieć nadziei sprawdzenia osobistego tych wieści. Już to do dzików miałem całe życie pech wyjątkowy. Polowałem w kniejach, gdzie strzelano do dzików jak na rezurekcyi, a ja zwykle wracałem z czystemi lufami, mieszkałem w okolicach, gdzie dzik nie był rzadkością, a jednak spotkanie miałem nieliczne i tę niewielką ilość dzików, którą ubiłem, zawdzięczam w bardzo małej części względom moich znajomych, lecz prawie jedynie moim dobrym płucom i nogom niezłym,

własnym pieskom i nieskończonym trudom — we własnych rewirach. Dlatego dzik, a zwłaszcza gruby odyniec pozostał dla mnie dotąd najpożądańszą zwierzyną łowną, którą (wyznaję to bez wstydu) przekładam o wiele nad jelenie.

To też można wyobrazić sobie moją radość, gdy dzięki uprzejmości p. Władysława Czajkowskiego, właściciela Sokulca w Buczackiem, zostałem nadspodziewanie wezwany na dzicze łowy, na dzień 21 i 22 stycznia b. r. Lecz i tu mój dziki pech postawił mi w drodze przeszkody, tak że dopiero w dniu 22-go stycznia, mogłem się stawić do apelu.

Polowaliśmy w prześlicznie położonych kniejach Hubina, gdzie mój amfitrion dzierżawi polowanie. Knieja ta rozciąga się w malowniczym kącie między Strypą a Dniestrem, a roi się od dzików. Polowanie prowadzone przez naszego gospodarza z wielkim spokojem i znajomością rzeczy, dało w rezultacie *12 dzików*, 2 rogacze, 1 lisa i 36 zajęcy. Poprostu wierzyć się nie chce tej obfitości dzików i tej ich uprzejmości w wychodzeniu z miotów, mimo ciągłej pukaniny do drobnego zwierza, gdyż myśliwi tamtejsi zblazowani zupełnie pod względem dzików, nie równie więcej cenią zające i kozły i bez względu na obecność dzików, w każdym miocie strzelają do wszystkiego, co pod lufę wlezie. Tropieniem nikt się nie fatyguje, bo to zupełnie tu zbyteczne, dziki bowiem leżą literalnie w każdym miocie. To też gdy w oczekiwaniu dzików przepuściłem bez strzału 4 rogacze, 2 lisy i z tuzin zajęcy, wywołałem tą moją wstrzemięźliwością, nie zupełnie dla mnie pochlebne uznanie.

Wśród zabitych dzików były 3 olbrzymie odyńce i jedna również ogromna samura, 4 warchlaki reszta dwu i trzylatki.

Te rzeczywiście królewskie łowy znalazły godne siebie dopełnienie w ciepłem i serdecznem przyjęciu wśród gościnnych ścian sokuleckiego dworu, które stosownie do pięknych słów Wincentego Pola, zdawały się rozszerzać, dla objęcia licznego naszego grona.

Dla wiadomości tych, których by to interesować mogło, dodaję, że większa część myśliwych, była uzbrojoną w małokalibrowe sztućce 8 mm, które i tu, jak zresztą zawsze, złożyły dowody swojej skuteczności.

Aleksander Przedrzymirski.

Gorajowice poczła Jasło, 3. stycznia 1902.

W lesie gminnym Brzyszczki, powiatu jasielskiego, gdzie prawo polowania dzierżawi p. Dr. Feliks Gaszyński odbyło się 19-go grudnia z r. polowanie, padły 3 rogacze, 8 zajęcy i 2 lisy. Jeden z uczestników pan Dr. Franciszek Baranowski złożył do rąk niżej podpisanego kierującego tem polowaniem 10 koron, za niezwykłe szczęście w spotkaniu, którem go Dyana w dniu tym obdarzała. Przesyłam więc tę kwotę na cel jaki Szanowny Wydział uzna za najodpowiedniejszy.

W. Biesiadecki.

Tłumacz, dnia 17. stycznia 1902.

Na polowaniu w Pużnikach 16 b. m. w 18 strzelb padło 27 zajęcy, 3 lisy, i 1 rogacz. Rezultat byłby daleko lepszy ale pora była fatalna — szalony wiatr i zadymka śnieżna. Dziki (7 sztuk), były otropione ale wyszły szczęśliwie na „nieszkodliwych" myśliwych, dlatego też mimo licznych salw poszły sobie zdrowo i wesoło. Wynik „chybnych strzałów" wyrażony w kwocie 16 koron, posyłam na rzecz ofiar wrzesińskich i studentów toruńskich.

Walewski.

Sprostowanie.

Prezes Towarzystwa myśl. im św. Huberta we Lwowie, p. Seweryn Krogulski nadesłał nam następującej treści pismo:

W korespondencyi szanownego delegata tarnopolskiego powiatu, p. Adama Maniewskiego, zamieszczonej w Nrze 1 „*Łowca*" z b. r. znajduje się ustęp, który opiewa:

„Po raz pierwszy tego roku 18 b. m. polowało nasze nowo założone Towarzystwo w Turce, kniei rzeczywiście pięknej"... etc. etc.

Wobec faktu, że knieja Turka nie należy do żadnego „nowo założonego Towarzystwa", lecz począwszy od połowy września 1895 r. aż do połowy września 1901 r. prawo polowania dzierżawi w niej Towarzystwo myśl. im. św. Huberta we Lwowie — zmuszony jestem sprostować notatkę Szanownego delegata, polegającej co do tego szczegółu na mylnej informacyi.

Kronika.

Na dzieci wrzesińskie złożyli na ręce naszej Redakcyi: Za pośrednictwem p. W. Biesiadeckiego Dr. Franciszek Baranowski za niezwykłe szczęście w spotkaniu 10 koron, zebrane przez p. W. Walewskiego na polowaniu w Pużnikach strzałowe 16 koron, L. D. z Milatyna 3 kor. 20 gr., p. Suchoczewski 1 kor., p. Gordaszewski 1. kor. Na rzecz obrony polskości na kresach wschodnich zebrano na polowaniu w Uhrynowcach 28 koron.

Podsłuchane.

Dwóch panów spotyka się w wagonie w drodze na polowanie.

A. Jak się masz, ty tutaj?

B. Dzień dobry mój drogi. Tak to ja we własnej skórze.

A. Proszę Cię, czy byłeś na polowaniu w X.?

B. A naturalnie, bardzo tam było wesoło, bawiliśmy się doskonale.

A. No a coście zabili?

B. Widzieliśmy 6 zajęcy, 2 poszły w tył przez nagankę, jeden postrzelony uciekł, a trzy zabiliśmy, ale jednego nam ukradli.

Kalendarz łowiecki.

Luty.

Wolno strzelać rogacze, cietrzewie, głuszce, dropie, pardwy, ptactwo błotne i wodne.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).

Młody człowiek lat 24 dobry myśliwy, posiadający 4-letnią praktyką lasową, odbywszy 2-letnią służbę wojskową, poszuknje posady podleśniczego lub leśniczego. Łaskawe zgłoszenia p. J. L. post. restan. Nawojowa koło Nowego Sącza.

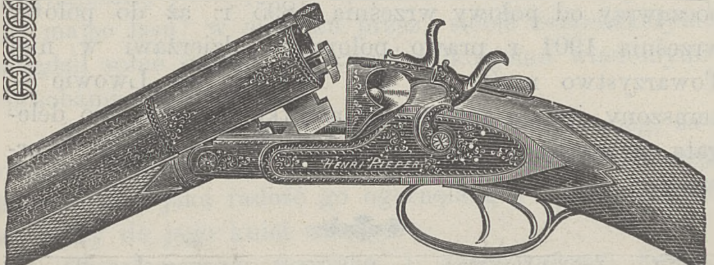
Do sprzedania dog czystej rasy roczny, bardzo ładny, duży, myszaty. — Zgłosić się N. N. Touste poste restante.

Poszukuje się kupna żywego puhacza. Zgłoszenia Administracya Łowca, Słowackiego 18.

W Łańcucie u łowczego Lewickiego są do sprzedania — 3 psy, 2 suki rasy krzyżowanej pointerów z rasą angielskich, roczne bardzo ładne i po bardzo dobrych rodzicach, z ukończoną tresurą domową. 1 suka 6-cio miesięczna seterka maści orzechowej tanio do sprzedania.

EMIL KUŹNICKI
FABRYKA
Papy dachowej, asfaltu, płyt izolacyjnych itp.
Oświęcim-dworzec
Filia: Lwów, Pasaż Hausmana l. 3.
Przedsiębiorstwo robót asfaltowych i krycie dachów ogniotrwałą papą.
132—25—24

Alfred Dzikowski
c. i k. nadworny dostawca.
Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka
broni myśliwskiej
odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,
poleca znakomitą
BROŃ MYŚLIWSKĄ
jako to
Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Exprcsy, pojedyńcze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.
Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej
Przybory myśliwskie i łowieckie
po cenach najtańszych.

C. k. uprz.
FABRYKA MASZYN ODLEWARNIA I KOTLARNIA
„PERKUN"
Spółka komandytowa Ferdynanda Pietzsch'a
FABRYKA MASZYN WE LWOWIE
ul. św. Marcina l. 11. Biuro techn.: Kopernika 18.

FABRYKA NARZĘDZI ROLNICZYCH I SKŁAD FILIALNY
w Rzeszowie ul. Sobieskiego.

Urządza kompletne tartaki, młyny wodne i parowe, gorzelnie. Urządza światło elektryczne, przenoszenie siły, gromochromy, centralne ogrzewalnie i wodociągi.

W. SZADKOWSKI i S. KOPCZYŃSKI

ZA DOBOROWĄ BROŃ MEDAL SREBRNY.
Pracownia rusznikarska we Lwowie, ul. Batorego l. 20 Hotel Saski. Wyrabia i utrzymuje na składzie wyprobowaną broń myśliwską wszelkich systemów jakoteż przerabia ze starych na najnowsze systemy.
Zamówienia i reperacye w miejscu, jak i na prowincyi wykonywa szybko i starannie.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.